

PIOTR BOROWIEC

FRAGMENT



WSZYSTKIE
BIAŁE DAMY

GMORR

© Copyright by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

© Copyright by Piotr Borowiec

Wrocław 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Korekta i redakcja:

KAMILA ŚWIĄTKOWSKA
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Projekt okładki:

PRZEMYSŁAW RYBA

Ilustracja na okładce:

BARTOSZ WOJDYGA

Ilustracje:

PAULINA WACH

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych
systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

ISBN: 978-83-941000-0-1

ISBN (ebook): 978-83-941000-1-8

Druk i oprawa:

PRINT GROUP Sp. z o.o.

Pieter Borowiec

WSZYSTKIE BIAŁE DAMY



Tam, gdzie mieszkają szczury

– Tam są... szczury!

Żona, blada i roztrzęsiona stała w drzwiach mieszkania. Obłąd w oczach, drżący głos. Tych sygnałów zbliżającej się hysterii nie sposób było zignorować czy zbagatelizować standardowym „oj, Ewuniu, przesadzasz”. Nie, tym razem to była poważana sprawa. Szczury.

– Ale butów nie przyniosłaś?

Niedobrze. Po co mi to było? Teraz oprócz obrzydzenia Ewunia poczuła zapewne jeszcze irytację. Powinienem był wykazać się minimalną empatią, przyjść, przytulić i pogłaskać po ślicznej główce. Zamiast postarać się zrekompensować traumę czułością, oczekiwaną teraz bardziej niż kiedykolwiek, zadałem banalne, krzywdzące swoją trywialnością pytanie. Jak ja mogłem w tej strasznej chwili pytać o buty, gdy ona zobaczyła SZCZURY?

– No już dobrze, kotuś. Pójdę tam i je przegonię. A jutro kupimy trutkę i pozbędziemy się paskud.

Przytulając roztrzęsioną Ewunię, zamknąłem drzwi do mieszkania. Po co robić kolejną scenę? Wścibscy sąsiedzi z klatki posiadają jakąś mistyczną intuicję. Zawsze wiedzą, kiedy wyleźć ze swoich nor, nie przegapią okazji

aby zajrzeć, co też się ciekawego w innych mieszkaniach dzieje. Cóż, szczury mieszkają nie tylko w piwnicy.

– Myślisz że... że co... że one ci zeżrą tę trutkę, tak? Że takie głupie, tak? Tu trzeba de-ra-ty-za-to-ra! Wiesz, ile to kosztuje?!

Nie, ani gryzonie, ani małżonki nie są głupie. Próbowaliśmy się wykpić tanim kosztem, wcisnąć proste rozwiązanie, w które zresztą sam nie wierzyłem. Zaraz się zacznie. Na poważnie się zacznie.

– Piotr! A od kiedy ciebie prosiłam o to, byś mi przyniósł te cholerne buty? Mówiłam ci. Od miesiąca! Zima się kończy, ja potrzebuję wiosennych butów. Idź mi do piwnicy, ile ci trzeba mówić? – No i zaczęło się.

– Kotuś... ja już idę...

– No i co z tego! Tu nie chodzi o to, tylko o to jaki jesteś! Cały czas! Ja ciebie proszę o gniazdko, napraw zlew, z kibla się leje! Z kibla cieknie, a ty nic! Butów sama musiałam iść poszukać! A ty wiesz, jak ja TAKICH rzeczy się boję... takich... STWORÓW! To ty powinieneś tam iść. Dwa miesiące temu, jak tylko zaczęłam cię prosić! – No i zaczęło się na poważnie.

A może i dobrze? Wściekłość na bezużytecznego męża – trutnia przysłoniła i zdominowała wstręt oraz strach.

– Piotr...

– Tak?

– Jeden z nich... nie żyje...

I w tej chwili skończyło się. Atak szloch wstrząsnął drobnym ciałkiem żony. Złość na męża odpłynęła. Ewcia wtuliła się we mnie mocniej, tak jakby bliskość mojego ciała miała uleczyć wstrząs obcowania z obrzydliwością. Żywą i zdechłą.

– A kto nie żyje?

Alicja stała w przejściu z przedpokoju do reszty mieszkania. Wlepiła w nas duże niebieskie oczy, w których płonęła ciekawość.

– Szczur, Alicjo.

– A jaki szczur, tatusiu?

– Jeden ze szczurów, które mieszkają w piwnicy.

– A co to jest piwnica?

– To jest to miejsce pod schodami, o którym ci mówiłem, że nie możesz tam sama chodzić.

Alicja zastygła w bezruchu. Nieco zmarszczyła brwi. Wyraźnie widać było, jak zastanawia się swoim sześciolatnim umysłem nad sensem i konsekwencjami tego, co usłyszała.

– I jak on nie żyje, to się nie rusza, tak?

Jak nie żyje to znaczy, że zdechł. Jest szczurzym trupem, zgnije i zeżrą go robaki. Ale Alicja nie miała pojęcia o przemijaniu i śmiertelności. Cała ta nadęta eschatologia, to wszystko było albo przemilczane, albo przetwarzane na symbole i znaczenia, które wedle naszego mniemania córeczka była w stanie pojąć. Rybka nie zdechła, tylko wróciła do jeziora, kotek rozjechany na drodze był bardzo chory i nie mógł wstać, a zmarła babcia sąsiadki poszła do nieba, do Pana Jezusa.

– Możemy tam pójść i go zobaczyć?

– Noo... dobra. Weźmiemy też buty dla mamy.

– Taaak!!!

Do wyjścia odprowadził nas sceptyczny wzrok żony. Zaczęliśmy schodzić na dół klatki. Typowe, gdy tylko weszliśmy na schody, drzwi do mieszkania naprzeciwko delikatnie uchyliły się. Moczydłowska. Cholerna, stara, wścibska purchawa nigdy nie przegapi okazji, aby zobaczyć, co też się dzieje, kto do tego młodego małżeństwa

przychodzi, kto wychodzi, kto odwiedza oraz jak często i z czym jest u nich listonosz.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, wpuszczając w piwniczny korytarz neonowy blask świetlówek, powietrze i ciekawskie spojrzenie dziecka. Ja zacząłem szukać po omacku włącznika oświetlenia. Stare cegły sypały się pod opuszkami palców.

– Dziwnie pachnie – powiedziała Alicja.

W końcu znalazłem kontakt. Słaba żarówka zwisająca z popękanego stropu rozlała mętne, żółte światło. Zaczęliśmy powoli schodzić. Trzymałem córkę za rękę. Nie prosiła mnie o to, ja zrobiłem to zresztą bezwiednie. Taki odruch, działanie zupełnie instynktowne, które uświadamiam sobie dopiero w momencie, gdy dłoń dziecka wciśka się w moją.

– Boisz się?

– Nie, tatusiu.

Brzmiało to wiarygodnie. Stwierdzenie Alicji wypowiedziane było głosem pewnym, jakby dziewczynka mówiła rzecz zupełnie oczywistą. Gdy zeszliliśmy z ostatniego stopnia schodów, dziecko puściło moją rękę. Spojrzałem na nią. Na jej twarzy faktycznie nie widać było strachu. Ze skupieniem obserwowała otoczenie.

Strzępy pajęczyn, poruszające się nieznacznie, szarpane delikatnym przeciągiem. Cienie, powykręcane we wszelkich możliwych kierunkach, niewyraźne, zlewające się z matowymi powierzchniami ścian, stropu i drzwi. Abstrakcyjne mapy nieistniejących kontynentów, malowane plamami farby odlażącej ze skrzyńki z bezpieczni-

kami. Wszystkie szczegóły nieznanego wcześniej miejsca Alicja chłonęła z powagą i namaszczeniem, ale bez strachu.

Zeszliśmy niżej. Drugie schody, na dolną kondygnację piwnicy tonęły w mroku. Idiotyczne rozwiązanie konstrukcyjne wysłało włącznik światła na sam koniec korytarza. Ciemność była wilgotna, nasycona nie tylko zapachem pleśni i niszczących murów, ale także delikatnym odorem, jaki można wyczuć na brzegach mocno zanieczyszczonych jezior. Miał jakiś chemiczny, nienaturalny posmak.

Drzwi do przysługującego nam boksowi znajdowały się w rogu korytarza, tam, gdzie się załamywał i skręcał w lewo. Za nimi zaczynała się strefa nieoświetlona przez jedyną w tym miejscu żarówkę. Co za kretynizm, dać włącznik na koniec, a źródło oświetlenia na początku.

– To co, Alicja? Otworzymy te drzwi i obejrzymy sobie stwory?

– Taaak!

Za drzwiami nie zobaczyliśmy szurów, a przynajmniej nie od razu. Ujrzyliśmy za to chaos tworzony przez lata mieszkania na tym osiedlu, tworzony pośpiesznie, bałaganiarsko. Piwnica była miejscem zesłania tego, co surowy osąd Ewuni, niepodzielnej władczyni 60 metrów jej mieszkania, uznał za zbędne w danym czasie. Stare szafki, niepasujące do wystroju flakoniki, brzydki dywanik oraz niemodne już sofy nie mogły liczyć na powrót do łask. Co innego worek z letnimi bucikami żony, albo zestaw do grillowania. Jednak te rzeczy, które odwieczny cykl pór roku czynił z piwnicznych gratów przedmiotami z powrotem wręcz niezbędnymi, zawsze chowały się na samym dnie „sterty wszystkiego”. Zacząłem poszukiwania.

- Tatusiu, tu będą te szczury?
- Pewnie jak zaczniemy tu grzebać, to zaczną uciekać.

Uważaj i patrz.

Miałem rację. Po około minucie od kiedy zabrałem się za przekopywanie „sterty wszystkiego”, podniosłem blat rozwalonego stołu, który wyniosłem tu chyba rok wcześniej. I wtedy, w momencie gdy naszym oczom ukazywała się cała reszta szpejów, one zaczęły uciekać. To był błysk brudnoszarego futra, mignięcie różowego ogona, delikatny szmer ostrych pazurów szorujących po plastikowej powierzchni. I tyle. Alicji to wystarczyło.

- Są! Tam są! Były! Uciekły!

Zdechły kolega tych co są, były, uciekły, przykleił się do podniesionego blatu. Wyglądał nawet zabawnie. Przypominał bohatera starej, durnej kreskówki, na którego spadło kowadło albo fortepian. Taki spłaszczony. Zredukowany do postrzępionego futra i poczerniałego ogona. Ale mojej córki, co było bardzo dla mnie zaskakujące, szczurzy trup nie interesował.

- Co tam stoi? - spytała. I, co jeszcze dziwniejsze, w jej głosie dało się wyczuć niepokój.

- Gdzie? - Obróciłem się w stronę zaciemnionej odnogi korytarza, tam, gdzie patrzyła Alicja.

- No tam. Tam coś stoi.

Wpatrywałem się w mrok. W miejscu, gdzie światło przegrywało już z brakiem światła, gdzie blask żarówki, i tak wątki, przygniatała czarność, nie widać było nic szczególnego. Drzwi dwóch ostatnich boksów, rura kanalizacyjna, mozaika pokruszonych cegieł. To wszystko ginęło, wchłaniane przez ciemność. Pustą. Do tego miejsca, gdzie sięgał wzrok, nic nie wzbudzało we mnie niepokoj. Dalej była ziejąca czern.

- Alicja, ja tam nic nie widzę.
- Ale tam jest coś. Ma nogi-wężę. I oczy.
- Boisz się.
- Troszkę tak, ale nie.

Nogi-wężę. W ciemności jest coś, co ma nogi-wężę. I oczy, które patrzą na nas, tak jak my patrzymy na to coś. Zrobiłem kilka kroków w nieoświetlony teren. Było tu chłodniej i nieprzyjemny zapach nasilił się. Kształty rozmyły się, zlepiły w abstrakcyjną masę. Obróciłem się do Alicji.

- Chyba ci się wydawało. Tu nic nie ma.
- Jest, ale ty nie widzisz. Możemy stąd iść?
- Dobra, wezmę tylko te buty.

Wracaliśmy szybciej, cały czas trzymając się za ręce. Gdy zamykałem drzwi do piwnicy, zapytałem córeczkę:

- Alicja, dalej się boisz?
- Nie. Tylko mi smutno.
- O, a to czemu?
- Bo szczury będą nie żyć.
- Nie, tylko jeden. Reszta skubańców ma się dobrze.

Alicja nic nie powiedziała. Pokręciła tylko główką i ruszyła do mieszkania.

Gdzie są te cholerne rękawice? Przecież nie będę dotykał zgniłego szczura gołymi rękami. Ani trutki też bez ochrony nie rozsypię. Nie było rękawic ani pod zlewem, ani w ostatniej szufladzie szafki w kuchni, ani w schowku w łazience. Nie było ich w żadnym z tych miejsc, w które moja Królowa Porządku, Pani Domu jeszcze doskonalsza od Gosi Rozenek, powinna je schować. Były natomiast

tam, gdzie nie powinny – pod stertą gazet w pokoju telewizyjnym.

Uzbrojony w worek na śmieci, rękawice ogrodowe oraz puszkę trutki na szczury zamówionej wcześniej na stronie Pryska.pl ruszyłem do piwnicy. Gdzieś w połowie schodów zauważyłem wspinającą się po stopniach Moczydłowską. Łazła powoli, każdy pokonany schodek kwitując cichym stęknieniem. Zasuszona, zgarbiona, żyłasto-patykowanymi paluchami czepiała się poręczy. Ubrana była w szary, mocno sfatygowany płaszcz, upstrzony niedopranymi plamami i raz ciemniejszymi, raz jaśniejszymi kleksami przebarwień. Gdy tylko mnie zobaczyła, wlepiła we mnie spojrzenie nabiegłych złością ślepi. Przyspieszyłem, aby jak najszybciej minąć staruchę.

– Panie, ej, panie.

Zignorować, jeszcze przyspieszyć kroku, aby szybciej wydostać się ze strefy rażenia. Miałem już wątpliwą przyjemność kilkukrotnie rozmawiać z nielubianą sąsiadką. Rozmawiać – w tym przypadku było to stwierdzenie na wyrost. Nie tyle rozmawiać, co wysłuchiwać tyrady roszczeń, pretensji, żali i złośliwości.

– Panie, cholera, mówię, stój, ty!

Moczydłowska, pomimo wieku, pomimo że sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz odejść z tego najlepszego ze światów, dysponowała całkiem potężnym głosem. No dobrze, zignorować się tego nie dało.

– Słucham panią.

– Gdzie pan idziesz? Smrodzić papierosami na klatce? Do piwnicy znowu, tak? Ciągłe pan tam łazisz ze swoją smarkulą. A bałagan tam kto posprząta? Wy tam macie bałagan! A jak pożar jaki, to co? I po co tam chodzisz z tą smarkulą? A jak ona się drze! Kto ją tak wychował?

Rodziców porządných nie ma, to i się ni umi zachować porządnie, o!

I w tej chwili Moczydłowska z wrednej staruchy spadła w klasyfikacji kilka poziomów niżej. Stara, obrzydliwa, suka. Bałagan w piwnicy czy palenie papierosów na klatce, zwykłe ludzkie sprawy. Ale czepianie się dziecka to już przegięcie.

– Moczydłowska, wiesz pani co?

– Co?

– Ja wiem, jaki jest pani problem...

– Co ty mi tu, gnojku...

– To jest samotność. Brak towarzystwa. Może pójdzie pani ze mną do piwnicy? Tam mieszkają szczury, bardzo podobne do pani. Łudzaco. Będzie dobrze się pani czuła wśród swoich.

– Co ty mi tu, skurwielu... Ja cię, gnoju, na milicję podam, do prokuratury... Ja cię już tak urządzę...

Nie dosłyszałem już, jak mnie urządzi. Pewnie donosem na UB. Trącał ją pies, ja już byłem przy drzwiach do piwnicy.

Gdy wcisnąłem włącznik, odniosłem wrażenie, że światło, jakie dawała żarówka, było jeszcze słabsze i jeszcze bardziej żałosne, niż gdy byłem tu poprzednio z córką. Za to ciemność, jaka obsiadła kąty, zakamarki i nieoświetlone części korytarza, bardziej gęsta. Ta ciemność miała nogi-węże. I oczy. I ciągle na nas patrzyła, bez ustanku obserwując każdy ruch, każdy gest, mrugnięcie powiek, najdrobniejszy nawet krok.

Energicznym poruszeniem głowy, błyskawicznym ruchem karku, lewo – prawo – lewo – prawo strząsnąłem z siebie obraz, jaki pojawiał się w mojej wyobraźni. Jaki zatem obraz musiał pojawić się w bujnej wyobraźni dziecka? Niepotrzebnie ją tu wtedy zabrałem.

Ruszyłem dalej.

Zobaczyłem je, gdy tylko włączyłem światło w dolnej kondygnacji. Leżały równo, ułożone jeden przy drugim. Pieczołowicie. Dokładnie. Łapkami w stronę drzwi. Zesztywniałe ogony tworzyły trzy kreski na szarym dywanie betonowej podłogi.

Zbliżyłem się do nich powoli. Nie bardzo wierzyłem w to, co widziałem. Kto, na litość Boga, uśmiercił trzy szczury i ułożył je obok siebie, tuż koło drzwi naszego boksu w piwnicy? Nie było widać na nich krwi, ran, zadrapań, śladów walki. Ktoś je musiał wytruć. Zadusić. Zarazić czymś zabójczym. A potem odnaleźć truchła. Ułożyć równo. Tak, aby każdy kto tędy przechodzi, mógł zobaczyć. Szczury. Te szczury, które będą nie żyć.

Nie wiem, gdzie narodził się impuls, który pognął mnie na górę, do prawdziwego światła, do prawdziwego powietrza. Być może w mózgu, być może głęboko w trzewiach, być może w samych opuszkach palców. Biegłem szybko, nie przejmując się, że zostawiam zapalone światło, że upuściłem foliowy worek, rękawice i trutkę.

Uspokoilem się dopiero zamykając drzwi do lochu. Jezu Chryste, ale to było psychotyczne! Kto to zrobił? Szczury były zdechłe. To fakt. No i co z tego? Pewnie otrute. Na pewno. Ktoś otruł szkodniki, tak jak ja chciałem. Jakiś sąsiad. Z klatki. Znalazł ciała, ale zorientował się, że nie ma worka, aby je zapakować i pogrzebać w śmietniku. Poszedł na górę, ale nie chciało mu się złazić. Postanowił to zrobić później. Potem zapomniał. Tak, to było to. Nic strasznego, zwykle ludzkie roztargnienie.

Wracałem do mieszkania uspokojony, będąc jednak trochę zażenowany własną reakcją. Wchodząc do domu zauważyłem nieco uchylone drzwi lokalu na przeciwko.

Rysowanie nie było przyjemnością, zabawą, nauką, koniecznością ani przykrością. Tym ostatnim była nauka literek, tym pierwszym jedzenie ciastek. Rysowanie miało status specjalny, niemal sakralny. Na pewno było rytuałem uświęconym tradycją. Najpierw należało odszukać kredki. Niezależnie od tego gdzie by one nie były, nawet jeśli dosłownie minutę wcześniej je gdzieś przekładałem, nawet jeśli doskonale zdawałem sobie sprawę, gdzie one się znajdują, zawsze musiałem przynajmniej chwilę ich szukać. Moja niefrasobliwość, czasem udawana, częściej jednak jak najzupełniej naturalna, musiała być skwitowana koniecznie przez Alicję. „Oj, tato! Ty nigdy nie wiesz, gdzie jest”. Potem należało wybrać kartki. Córka miała wybór, raz były to kartki czyste, z bloku, raz w kratkę, z zeszytu. Następnym obligatoryjnym elementem procedury było stosowne przygotowanie stanowiska. Z ławy w pokoju telewizorowym poznikały filiżanki, papierzyska, sterty „Twoich Stylów” i „Wysokich Obcasów”. Ich miejsce zajmowały przybory rysownicze.

– To co dziś malujesz?

Brak odpowiedzi ze strony córki był pierwszym, od kiedy tylko sięgam pamięcią, odstępstwem od rutynowego sposobu postępowania. Zawsze po tym pytaniu dowiadywałem się, że uwieczniona dziś będzie Rainbow Dash z My Little Pony, albo smok, albo mamusia, tatuś, siostra Julcia i ona, czyli Alicja. Dziś dziewczynka zbyła mnie milczeniem, od razu zabierając się do rysowania.

Pierwszy powstał zarys głowy. Potem dwie małe kreski, skośne, rozchodzące się od centrum właśnie naszkicowanej plamy łba ku jej nieregularnym bokom. Kreski

zostały wyposażone w półkole, w środku których pojawiła się kropka, naniesiona czerwonym flamastrem. Poniżej tak namalowanych oczu Alicja umieściła okrąg ust, trochę krzywy, trochę zbaczający w lewo. Nie, to nie usta. Czegoś tak obficie wyposażonego w ostre zęby nie można nazwać inaczej jak paszczą. Nad kolejnym elementem córka pracowała już wolniej, kreśląc podłużne, wijące się, wąskie kształty wychodzące we wszystkich kierunkach od nieproporcjonalnie większej głowy. Gdy skończyła, przez długi czas w skupieniu przypatrywała się rysunkowi.

Nie przeszkadzałem jej.

Alicja długo wybierała narzędzie, którym zamierzała pokolorować namalowanego stwora. Najpierw wzięła czerwony flamaster, by szybko go odłożyć. Dłużej przypatrywała się czarnej kredce. Zrobiła próbę na swojej dłoni, smarując jej wierzch obfitą, smolistą kreską. Ostateczny wybór padł na ciemnofioletowy flamaster. Większa część postaci, z wyjątkiem centrum łba, gdzie były oczy i paszcza, pokryła fioletowość.

– Skończyłaś?

– Nie. Jest tu brakowanie rury.

– Jakiej rury?

– Takiej z dziurą, którą Znieżywiaczka idzie po inne szczyry.

Alicja narysowała długi, wąski prostokąt. Gdzieś na środku rozbryzgała się czarna plama, namalowana wcześniej odrzuconą kredką. Rury przestało brakować. Rury z dziurą.

– I jak się ten potwór nazywa?

– To nie potwór, tatusiu. Potworów nie ma. Są! Ale w bajkach.

– No to co to jest, ośmiornica?

– Nie, tatuusiu, ośmiornice są w wodzie, a nie tam, gdzie mieszkały szczury!

– No to co to jest?

– Znieżywiaczka. Spójrz, ma nogi-węże.

Dla mnie to były macki. Ale faktycznie, macki to są takie nogi, które wyglądają na węże.

– Ona jest straszna.

– Dlaczego?

– No, bo jest straszna.

– Nie jest? Ona robi, że nie żyją szczury.

– No to tym bardziej jest straszna.

– A ty i mamusia ją lubicie.

– Taką straszną ośmiornicę?

– Nie ośmiornicę. Znieżywiaczkę. Cieszycie się!

– Dlaczego?

– Bo tatuś i mamusia bardzo nie lubią szczurów.

Coś paskudnego, coś zimnego zaczęło wędrować od żołądka w górę. Chciałem powiedzieć, już sam nie wiem co, ale paskudne lodowate zamroziło mi słowa w gardle. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi. Moja żona stanęła w przedpokoju.

– Piotr, śmieci. Prosiłam cię.

– Zaraz, chyba jest problem. Zobacz, co nasza córka narysowała.

– Jezu, co to za paskuda? Ale straszna ośmiornica!

– Ewuś, to Znieżywiaczka. Pogadaj z Alicją, to ci wyjaśni. Mnie się to nie podoba. Bardzo.

– Dobra, Piotr, nasza córka maluje stwory. Dzieci tak robią. Śmieci!

– Dobra, pójdę. Potrzebuję papierosa. Bardzo.

Zszedłem szybko po schodach. Za drzwiami przywitał mnie zimny, jesienny wieczór, oświetlony księżycem

w pełni. Na ławce przed blokiem siedziała Gośka, otyła i wiecznie plotkująca mieszkanka parteru. Lubiłem ją, bo pomimo wścibskości miała do ludzi dużo sympatii. Po śmierci męża sprawy bloku pochłonęły ją, wiedziała wszystko o wszystkich, ale najbardziej kompromitujące rzeczy zostawiała dla siebie. Prawie zawsze.

– Dobry wieczór, pani Gosiu.

– A dobry, dobry. Chociaż nie wiem, czy dobry. Słyszał pan już?

– Nie, pani Gosiu, pozbędę się śmieci i mi pani opowie.

– No, niech pan sam przeczyta. No, za panem.

Odwróciłem się. Dopiero teraz zauważyłem kartkę papieru przyklejoną do drzwi. Dziwne. Wszelkie ogłoszenia wspólnota mieszkaniowa zawsze umieszczała na tablicy na klatce schodowej. Nie, zaraz, był jeden rodzaj ogłoszeń, które były zarezerwowane dla umieszczenia ich na wejściu do bloku. Klepsydry.

– No, taka tragedia. Strażacy byli, mówili, że rura od jej piecyka była nieszczelna. Taka mała dziurka, a wystarczyła, żeby biedaczkę zaczadzić.

Jezu Chryste, faktycznie, klepsydra.

„Z głębokim żalem zawiadamiamy, iż w dniu... odeszła od nas Mieczysława Moczydłowska przeżywszy lat...”.

Dalej nie czytałem. Nie mogłem. Coś lodowatego, coś paskudnego przybrało już wyraźniejszy kształt, niż tylko mętnego, niezidentyfikowanego, ale nieprzyjemnego uczucia. To była już myśl, wyrażająca usłyszane niedawno słowa. Myśl, która wbiła się w umysł, pacyfikując go, niszcząc w zarodku wszelkie inne jego funkcje.

Tatus i mamusia bardzo nie lubią szczurów.



Piotr Borowiec

Studiował prawo na Uniwersytecie Rzeszowskim, na co dzień pracuje w firmie konsultingowej. Ojciec Alicji i Julii, fan klasycznej literatury grozy i muzyki rockowej. Jest stałym współpracownikiem bloga Okiem na Horror, na którym, w 2014 roku w konkursie Horror na Debiut, jego opowiadanie Czwarte użycie noża zajęło II miejsce. Swoje teksty publikował w magazynach Krypta, Histeria, Grabarz Polski oraz na Szortalu.

Opowiadania Piotra Borowca nie tylko są dobrze napisane, ale także dowodzą wcale nieczęstej u pisarzy grozy umiejętności straszenia. Tu nie będzie hektolitrow posoki ani kilometrów półprzejrzystych jelit, o nie. Psychologia, moi drodzy czytelnicy – lęk zaczyna się od naskórka, od zapachu i dziwnego dźwięku wywołującego dreszcze, od tajemniczej postaci ukrywającej się w ciemności. Piotr Borowiec nastraszył mnie parę razy naprawdę mocno i zawdzięczam mu noc wypełnioną sennymi koszmarami.

Krzysztof Maciejewski

Trzyście mrocznych opowiadań z pogranicza grozy i urban legend utrzymanych w nastroju ghost story. Historie o duchach, duszach i strzygach, które zawsze czegoś chcą i nie zawsze jest to zemsta. Co może stać się z Darem, który miał ratować ludzkie życie, gdy się go niewłaściwie wykorzysta? Czy słuszny cel zawsze uświęca środki? Ile są warte nasze wartości, kiedy świat okazuje się zupełnie inny niż przypuszczaliśmy?

A Ty co byś zrobił na miejscu bohaterów?

www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork



HORROR.COM.PL

